

SENS CIERPIENIA

1 marca 1995 roku bp Eugenio Corecco, ordynariusz Lugano został wezwany do domu Ojca.

Był profesorem prawa kanonicznego na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim, na Uniwersytecie Katolickim w Mediolanie oraz na Północnowłoskim Fakultecie Teologicznym. Ordynariuszem Lugano został mianowany w wyjątkowo trudnym momencie wynikającym z sąsiedztwa z inną szwajcarską diecezją. Dzięki swej pogodzie ducha oraz nauczaniu przyczynił się do złagodzenia zastanych napięć przez wskazanie drogi naśladowania Chrystusa.

Teologiczne i pastoralne nauczanie biskupa Corecco sięgało daleko poza granice Szwajcarii. W dużej mierze przyczynił się on do rozwoju teologicznych podstaw prawa kościelnego oraz utrzymywał szczególne kontakty z młodzieżą, m. in. poprzez więzi łączące go z ruchem „Comunione e Liberazione”. Również z „Communio” utrzymywał szczególne związki wynikające ze szczerzej przyjaźni z H. U. von Balthasarem oraz wieloletni kontakt z redakcją włoskiej edycji naszego periodyku.

W jego stronę kierujemy zatem wyrazy naszej wdzięczności oraz obietnicę wierności przekazanemu nauczaniu. Dla upamiętnienia jego świadectwa, które w ostatnich latach było naznaczone bólem fizycznym, znoszonym w nadziei wiary, przedstawiamy teraz jedno z jego rozważań na temat cierpienia.

* * *

Do zadań biskupa nie należy wyłącznie głoszenie Ewangelii i przepowiadanie Słowa, ale również konkretna pomoc wiernym, którzy zostali mu powierzeni, w przeżywaniu głoszonego orędzia. Właśnie dlatego, że w miarę swych możliwości winien on w konkretny sposób wspierać wiernych w codziennym wcieleniu Ewangelii w życie, nie może on dyspensować się od obowiązku dawania świadectwa o tym, w jaki sposób sam przeżył i w jaki winna być przeżywana choroba. Albowiem stanowi ona integralną część ludzkiego życia. Gdybyśmy pozostawili chorobę poza marginesem życia, nie byłibyśmy szczerzy, nie ustosunkowalibyśmy się do całej egzystencji ludzkiej, co więcej, nie mielibyśmy nawet odniesienia do fundamentalnego doświadczenia człowieka.

Zdrowia nie stawiamy na pierwszym miejscu

Natomiast nasze społeczeństwo stara się eksmitować chorobę poza nawias życia publicznego, tak że choć czyni się wiele dla przezwyciężenia chorób, to jednak w tym samym momencie cen-zuruje się samą chorobę. Nikt z przyjemnością nie wypowiada się na temat własnego braku zdrowia, a za podstawową wartość życia uważa się właśnie zdrowie, którym się cieszymy. Zdrowie ponad wszystko. Rzecz najważniejsza, to być zdrowymi. Takie oto opinie niezmiennie się pojawiają nie tylko wśród ogółu ludzi, ale także u tych, którzy wierzą w Chrystusa. Najwyższą wartość życia bardzo często utożsamia się z dobrym zdrowiem. Nie ulega wątpli-wości, że zdrowie jest ważnym warunkiem decydującym o tym, czy możemy wykonać wiele rzeczy, jakie mamy do spełnienia, ale nie jest ono warunkiem decydującym o tym, czy nasze życie bę-dzie naprawdę wartościowe. Przecież także ci, którzy cierpią, któ-rzy są boleśnie doświadczeni przez chorobę, którzy chorują nawet przez całe życie, mogą doświadczać rzeczy wielkich i mogą nadać swemu istnieniu niezmierną wartość. A jeśli choroba jest przeży-wana w sposób właściwy, to może nadać życiu wartość o wiele większą od tej, jaką może mu dać samo zdrowie.

Z tego powodu zdecydowałem się podjąć zaproszenie *Caritasu*, któremu dziękuję za to, że natchnął mnie ideą mówienia o własnym doświadczeniu, a przede wszystkim za to, że mogę wyjść na-przeciw tym wszystkim osobom, które są nieuleczalnie chore. Dziękuję *Caritasowi* również za to, że najprawdopodobniej jedynie w doświadczeniu tego, co Kościół winien czynić we wspólnocie ludzi, mógł zrodzić się pomysł poproszenia Biskupa, aby zechciał publicznie mówić o swojej chorobie. Nie można iść nieustannie „pod prąd”; co najwyżej da się to zrobić tylko raz w życiu. Wolę jednak powrócić do istoty rzeczy, choć inaczej, bo już nie prowo-kowany żadnym pytaniem, ale przekonany o tym, że mogę wam pomóc; zarówno wam, którzy jesteście chorzy, jak i wam, którzy jesteście zdrowi, abyście mogli zrozumieć, na czym polega praw-dziwa wartość choroby. Chcę wam pomóc w przeżywaniu życia w sposób tak głęboki, abyście potrafili nadać sens nawet cierpieniu fizycznemu.

Zdrowi nie są w stanie tak łatwo tego zrozumieć. Takie też było moje pierwsze doświadczenie, zanim jeszcze sam nie zachoro-wałem. Nigdy nie postawiłem sobie pytania na temat cierpienia wynikającego z choroby. Jestem przekonany, że czytając jedynie jakieś rozważania lub książki mówiące na ten temat niewiele ro-zumiałem z tego, czym jest choroba. Albowiem tak naprawdę je-

steśmy w stanie zrozumieć prawdziwy sens życia tylko wtedy, gdy opieramy się na konkretnym, własnym doświadczeniu. Jedynie doświadczając czegoś w sposób świadomy, możemy wydobyć z tego wskazówki dla własnego życia.

Profetyczny wymiar choroby

Rozważając jedno z bardzo pięknych doświadczeń, jakie przeżywamy każdego roku, także i mijającego, zadałem sobie pytanie, dlaczego nasz Kościół lokalny odczuwa *potrzebę* wożenia swych chorych do Lourdes? Nie jest to przecież czymś planowym, ani też zwyczajnym aktem dobroci. Nie czynimy tego jedynie po to, by pomóc im dotrzeć do stóp Matki Bożej w celu: uproszenia łaski duchowego lub fizycznego uzdrowienia. Myślę, że ten gest Kościoła, zmierzający do zgromadzenia swych chorych (Ewangelia przypomina nam, że zjawisko to zaczęło się już w czasach Jezusa), rodzi się z głębokiej potrzeby, która przewyższa pragnienie i stan każdej pojedynczej osoby. Chodzi o to, aby wyrazić i zmanifestować fakt, że dla poszczególnych chrześcijan oraz w doświadczeniu wspólnoty choroba ma wymiar profetyczny. Prowadząc chorych do Lourdes, pragniemy uzewnętrznić tę funkcję i wartość choroby, publicznie wskazując na to, czym jest ona sama w sobie. Choroba niezmiennie pozostaje znakiem śmierci. I stąd właśnie wynika również profetyczny wymiar bycia chorymi. W sumie każdy z nas, gdy zostaje dotknięty chorobą, która nawet w krótkim czasie może doprowadzić do zgonu, uprzedzająco partycypuje w końcowym momencie ziemskiej egzystencji, w przejściu z teraźniejszego do przyszłego życia. Śmierć jawi się wśród nas jako znak i odwołanie do tego, czego każda osoba musi kiedyś doświadczyć, a mianowicie do śmierci. Musimy odwoływać się do tej wartości, musimy ją sobie nieustannie przypominać, ponieważ śmierć jest najważniejszym momentem naszej egzystencji.

Choroba może nam pomóc zrozumieć wagę i wielkość ostatecznego momentu naszego ziemskiego życia. Pomaga nam już uprzednio zrozumieć — i stąd jej wartość profetyczna — nasze przeznaczenie oraz to, jak bardzo potrzebujemy Innego, Kogoś, kto jest większy od nas. Choroba, jeśli jest przeżywana właściwie, zyskuje dla naszego życia wymiar wychowawczy i bardziej niż cokolwiek innego może nam pomóc w zrozumieniu, kim my jesteśmy, kim jest On, oraz jak bardzo jest On większy od nas. Dzięki doświadczeniu, które przeżywamy, a jeszcze bardziej dzięki temu, co nam objawia Ewangelia, choroba pomaga nam zrozumieć, czy naprawdę jesteśmy gotowi spełniać w swoim życiu Jego wolę. W gruncie

rzeczy bowiem tak naprawdę ważnym problemem chrześcijanina pod koniec jego życia nie jest w pierwszym rzędzie prośba o wybaczenie grzechów lub o możliwość przeżycia spowiedzi generalnej. Prawdziwym problemem — nawet wtedy, gdy się już wyśpowiadamy, gdy zostanie nam udzielony sakrament chorych — problemem, który pozostaje jeszcze do rozwiązania, jest sprawa powiedzenia „tak” Panu, który nas wzywa. I tego się bardzo lekamy. Nie jest przecież łatwo za życia powiedzieć Panu „tak” szczerze i bez najmniejszego zastrzeżenia. Powtarzamy to setki razy, kiedy odmawiamy *Ojcze nasz*, ale przeżywamy to często w sposób bardzo ogólny, z zachowaniem wewnętrznej rezerwy. Mówimy „tak” Panu, ale także swoim własnym planom i swej własnej woli. Bardziej aniżeli o spełnienie Jego woli, prosimy Pana o wysłuchanie naszych prośb, o zrealizowanie *naszej* woli. Nie jest to zabronione. Możemy prosić Go o łaskę spełnienia się tego, co byśmy chcieli, pamiętając jednak, że najważniejszą dla nas rzeczą jest to, aby spełniła się wola *Boża*. Problem śmierci polega na tym, abyśmy umieli ją przeżywać, mówiąc Panu „tak”, mówiąc Mu: „Jestem gotów pójść”

Może się to wydawać proste, w rzeczywistości jednak jest bardzo trudne. Choroba jest w tym wypadku przygotowaniem, ponieważ w trakcie choroby znajdujemy się niemal w takiej sytuacji śmierci. Dlatego właśnie umieranie z powodu choroby jest ważniejsze, aniżeli nagła śmierć. Bardzo wielu myśli, że nagła śmierć byłaby czymś lepszym, gdyż wtedy się nie cierpi, nie jest się świadomym tego, co się dzieje, nie jest się dla nikogo ciężarem. Jednak takie myślenie nie powinno mieć miejsca w sercu chrześcijanina, albowiem choroba jest pomocą w przygotowaniu nas na śmierć. Niezależnie od tego, czy będzie to choroba bliska śmierci, czy względnie od niej daleka, zawsze jednak będzie zawierała w sobie jej zalążek. Nagła śmierć nie jest tym, czego winniśmy sobie życzyć, ponieważ cierpienie pomaga nam przygotować się na stawienie się przed Panem, na pójście za Jego wołaniem. I tego właśnie winniśmy życzyć wszystkim, aby byli gotowi powiedzieć Panu swoje „tak”

Choroba uprzedza pokusy śmierci

Jeszcze przed moją ciężką operacją odwiedziłem pewną panią w szpitalu w Lugano. Zorientowałem się, że ta kobieta, chociaż zawsze była obecna na liturgii w katedrze, choć była wierząca, przykładna i oddana modlitwie, to jednak nie potrafiła pogodzić się z koniecznością śmierci. Odwiedzałem ją, aby jej pomóc zrozu-

mieć, że najważniejszą rzeczą w jej sytuacji było pogodzenie się z wołaniem Pana, niezależnie od tego, iż wydawało się ono przedwczesne. Zadawałem sobie na ten temat wiele pytań, dopóki sam zdjęty chorobą nie pojąłem doskonale, dlaczego ta kobieta, choć była dobrą chrześcijanką, nie mogła zaakceptować nadchodzącej śmierci. Myślę, że wszystkie pokusy, którym została ona poddana, później stały się także moim udziałem.

Śmierć jest czasem pokusy, a choroba ma wymiar profetyczny, ponieważ uprzednio wprowadza nas w pokusy, jakie niesie ze sobą śmierć. Pochodzą one z naszego umysłu i porywają tych, którzy zostali dotknięci ciężką chorobą prowadzącą ku śmierci. Faktycznie, kto znajduje się w takim stanie, w sposób neunikniony zadaje sobie następujące pytania: „Dlaczego właśnie ja?”; „Cóż złego zrobiłem?”; „Zawsze starałem się dobrze wychowywać swoje dzieci, a teraz muszę umierać?”; „To niesprawiedliwe”. Śmierć wydaje się nam czymś niesprawiedliwym. Życie zdaje się być oszustwem, obietnicą czegoś, co ostatecznie jest ulotne i co w swej istocie nie zawiera żadnej obietnicy, bądź też co nie jest już realizacją żadnej obietnicy. Aż rodzi się myśl, że w ogóle byłoby lepiej nie żyć, niż tak umierać. Takie oto pokusy nachodzą człowieka bliskiego śmierci, chorego i świadomego, że niebawem może umrzeć. Człowiek taki odczuwa jawne sprzeczności rozumu. Rodzi się w nim bunt. Zrozumiałem, że tamta kobieta doświadczała czegoś, co było nie tylko jej osobistym przeżyciem, ale również moim własnym doświadczeniem, a może też i doświadczeniem wszystkich ludzi. Był to swoisty bunt przed śmiercią, jaki przeżywamy w przypadku pewnych chorób.

W gruncie rzeczy odnosi się to również do osoby Jezusa, który doświadczył wszystkiego, co ludzkie. W Nim samym spełniło się to wszystko, co człowiek może przeżyć i doświadczyć we własnej egzystencji. W obliczu własnej śmierci doświadczył On czegoś głębszego, niż moglibyśmy sobie wyobrazić, a co miało miejsce właśnie wtedy, gdy pocił się krwią w Getsemani. Wśród tak różnych okrucieństw, jakich dziś jesteśmy świadkami, nie słyszeliśmy o tym, aby ktoś na myśl o śmierci pocił się krwią. U Jezusa natomiast, jak mówi nam o tym Ewangelia, właśnie tak się stało. Wynika stąd, że Jego trwoga przed śmiercią przekroczyła wręcz granice ludzkiego doświadczenia. To zaś znaczy, że On naprawdę obawiał się zniknięcia w próżni, przepadnięcia w przepaści bezpowrotnie zamykającej bramy naszego życia, bez pozostawienia po sobie jakiegokolwiek śladu. Na krzyżu wołał: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”, powtarzając jeden z Psalmów Starego Testamentu, który rozpoczyna się właśnie tymi słowami despe-

racji, ale który dalej kieruje się w stronę nadziei i ufności pokładanej w Panu. Na krzyżu Jezus ujawnił pierwszą część tego doświadczenia, które naród żydowski wyraził poetycko słowami: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”

Czegoś podobnego doświadczamy i my sami. W obliczu śmierci również nam się wydaje, że jesteśmy opuszczeni przez Boga. My jednak nie pocimy się krwią, ponieważ w nas nie działa moc całej ludzkości, jak to miało miejsce w osobie Jezusa, który połączył w sobie doświadczenie wszystkich. Dlatego Jego doświadczenie było o tyle bardziej realistyczne, o ile było głębsze i boleśniejsze. A zatem nie tylko nas dosięga pokusa ucieczki od woli Bożej i nie tylko my przeżywamy trud wpisywania swego życia w Boże powołanie oraz wypowiedzania przed Panem owego „tak” bez najmniejszych zastrzeżeń i z całą wyrazistością. Doświadczył bowiem tego również sam Chrystus.

To nas pociesza, umacnia i pomaga nam zrozumieć, że nie powinniśmy rozpaczać. Ponieważ Chrystusowi udało się przejść zwycięsko przez tę próbę, z prośbą skierowaną do Ojca, aby spełniła się Jego wola, to i my możemy uczynić to samo. Także my będziemy mieli siłę i łaskę poproszenia Ojca o spełnienie się bardziej Jego, aniżeli naszej woli. To, co było możliwe dla Jezusa Chrystusa, może spełnić się także w nas. Jednakże do tej chwili nie możemy się zbliżyć nieprzygotowani, gdyż w przeciwnym razie rzecz ta stanie się wyjątkowo trudna.

Choroba jest łaską

Choroba ma nie tylko wymiar profetyczny, który uprzedza to, co stanie się na końcu. Nie jest ona wyłącznie chwilą, w której nasza osoba poddana zostaje pokusie buntowania się przeciw Bogu, jest ona również momentem łaski. Nie jest łatwo powiedzieć, że choroba to również łaska. Być może, sam też nigdy nie byłbym w stanie powiedzieć czegoś podobnego. Stwierdzenie, że choroba jest łaską, jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, jawnie sprzeciwia się rozumowi. Jeśli jednak zastanowimy się nad tym, co dokonuje się w trakcie choroby, to uświadomimy sobie, że choroba jest naprawdę łaską. Wszyscy się boimy lub będziemy się bali powiedzieć to drugiemu człowiekowi. A jednak jest to głęboka prawda. Albowiem gdy analizujemy to, co się dzieje w nas podczas choroby, to, co ona w nas powoduje, o ile przeżywamy ją na sposób prawdziwie chrześcijański, wówczas widzimy, że w człowieku następuje ogromna przemiana. Od chwili, gdy zaczę-

ła się choroba, stajemy się do głębi przemienieni, nie jesteśmy już tymi samymi, co przedtem — a to stanowi i wskazuje na łaskę. Stąd wypływa prawda o tym, że choroba jest łaską. Jeśli mówimy to przed chorobą, czujemy wówczas, że jest to jeszcze za wcześnie, że uprawiamy tylko swoistą ideologię. Natomiast po zdobytym przez nas doświadczeniu, co sam w pewien sposób przeżyłem, możemy śmiało powiedzieć, że choroba jest łaską i że musimy umieć przeżywać ją jako łaskę. Choroba zmienia nasze odniesienie do Pana Boga, z pewnością przybliża nas do Niego. Wówczas modlimy się więcej, może nawet jedynie prosząc Go o uzdrowienie; taka modlitwa jest interesowna, ale usprawiedliwiona.

Choroba a wartość czasu

Choroba pozwala nam inaczej, aniżeli przedtem, odczuwać czas, który przeżywamy. Zauważamy, że życie jest czymś wyjątkowo cennym, że jest największym darem, jaki otrzymaliśmy od Pana. Odkrywamy, że czas posiada inną intensywność niż wcześniej. Nie jest już odniesieniem do rzeczy, które mamy do zrobienia, ale do egzystencjalnego doświadczenia każdego z nas. Czujemy, że jest on czymś niezwykle cennym, ponieważ przynagła nas, gdyż nie mamy już czasu na marnowanie go, jak to czyniliśmy wcześniej. Czas staje się czymś bardziej ważkim, czymś, co chcielibyśmy przeżyć w sposób jak najbardziej intensywny.

Choroba — odkrycie samotności

Choroba nas zmienia, ponieważ sprawia, że namacalnie doświadczamy samotności, jaka tkwi w nas samych. W gruncie rzeczy bowiem w trakcie choroby przychodzą takie chwile, kiedy człowiek rozumie, że ostatecznie sprawa dotyczy jego samego. Nikt nie jest w stanie go zastąpić. Nikt nie może zająć jego miejsca lub mówić w jego imieniu. Odczuwa on własną kruchość i ze względu na nią pojmuje, że istnieje tylko jedna Osoba, która może go wypełnić, ponieważ ta Osoba jest Kimś większym od niego; jest to Ktoś, kto dał nam życie. Odkrywamy, że samotności nie da się przewyciężyć jedynie w oparciu o ludzkie doświadczenie. Czy zostaniemy kiedyś małżonkami, czy przyjmiemy święcenia kapłańskie, czy też będziemy osobami Bogu poświęconymi, zawsze pozostanie w nas taki punkt, w którym przed Bogiem stajemy samotni. I nikt z zewnątrz nie może nam pomóc w taki sposób, że zajmie nasze miejsce. To nas przynagła i to dopiero otwiera w nas samych drzwi prowadzące do zrozumienia, że jedynie Pan

może wypełnić tę pustkę, jaką człowiek nosi w swym wnętrzu. Wystarczyłoby już tych kilka rzeczy, abyśmy zrozumieli, że choroba naprawdę jest łaską. To, co zostało powiedziane na początku, mogło wydawać się czymś nieprawdziwym lub absurdalnym, jednak z analizy tego, co dokonuje się w nas samych, stwierdzenie, że choroba jest łaską, staje się najzupełniej prawdziwe.

Zaakceptować chorobę

Istnieje jednak pewien warunek, który pozostawiłem na koniec. Wszystko to, co powiedziałem do tej pory, spełni się w nas samych jedynie wtedy, gdy będziemy w stanie zaakceptować chorobę. Najważniejszą rzeczą, jaką musimy uczynić, właściwą postawą, jaką musimy przyjąć w odniesieniu do chorych, jest osobiste zaakceptowanie tego, co się stało, oraz podjęcie prób, aby pomóc innym czynić to samo. Musimy pomagać chorym w zaakceptowaniu ich stanu.

Kto kocha ojca, matkę, braci... — to stwierdzenie Jezusa, zawarte na kartach Ewangelii, które jednak należy rozumieć bez uproszczeń, ubogaca nasze rozważanie. Jezus bowiem stwierdza, że *kto kocha kogoś lub coś bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien*. A zatem jeśli kochamy zdrowie jako najwyższą wartość, to nie jesteśmy godni Jezusa Chrystusa. Dlatego również i chorobę powinniśmy zaakceptować sercem, bez ogródek czy uników (unik jest najsztubtelniejszą pokusą), umiając stanąć przed Panem w całkowitej szczerości.

Zaakceptowanie choroby stanowi warunek prowadzący do tego, że może się ona stać dla nas proroczym znakiem chwili, w której zwyciężamy pokusy, jakie niesiemy w sercu przez całe swoje życie. Stanowi ono warunek, który pozwala nam zrozumieć, iż choroba jest łaską w tym sensie, że zmienia nas wewnątrz. Akceptacja to założenie, które powinniśmy nosić w sobie, że Pan może nam dać chorobę jako łaskę, ponieważ sami nie jesteśmy w stanie przeżyć jej w pełni.

Pierwszą rzeczą, jaką musimy uczynić, gdy jesteśmy chorzy, jest zaakceptowanie tego stanu przed Panem i pozwolenie na to, by ta nowa sytuacja życiowa wywołała wszystkie możliwe pozytywne efekty i wszystkie możliwe pozytywne konsekwencje, nawet te, których świat nie podziela.

tłum. ks. Mieczysław Brzezinka SAC